

Od autora: "Pejzaż ..." to zbiór reportaży z moich podróży po b. ZSRR od roku 1992 aż do dzisiaj - od bliskiej Białorusi, Ukrainy przez Mołdawię, Rosję, Kazachstan aż po Kirgistan, Uzbekistan, Turkmenistan Po latach dłubaniny tekst zdaje się być wreszcie na ukończeniu, pojawiła się też szansa (na razie na horyzoncie) na jego wydrukowanie. Poniżej kilka fragmentów z początku książki - miło będzie poznać Wasze zdanie ...

1992 : SZARY Z DOMIESZKĄ CZERWONEGO, NIECO JEDNAK WYBLAKŁEGO

Po przeraźliwie szarych i brudnych ulicach poruszają się niemrawo przeraźliwie szare i brudne wynalazki sowieckiej myśli technicznej, zwane tu – nie wiedzieć dlaczego – samochodami. Szare gołąbki na kolejnych szarych placach, zrzucają szare bombki na szare, łyse drzewa. Jest jesień, pierwsza jesień niezależnej Ukrainy. Szare są chodniki, ludzie, psy, tramwaje, szarzy i bez wyrazu są panowie pijacy i witryny sklepów a także wielkie futrzane papachy. Wszystko w zasadzie jest tak cholernie szare, że aż chce się wyć. I wyję. Kończy się listopad, rok dziewięćdziesiąty drugi. Chwilę temu z hukiem i łomotem, zarejestrowanym nawet przez odległe, arktyczne stacje, zawalił się niezwyciężony Sojuz, który tak, jak tysiącletnia Rzesza i jeszcze parę innych, para państwowych wynalazków, miał przecież trwać po wieki. Lwów zaś już nie jest prowincjonalnym miastem, położonym gdzieś hen, na zachodnich rubieżach sowieckiego imperium. Ani czarno-białym wspomnieniem tysięcy Polaków : jest teraz jednym z centralnych punktów wciąż rodzącej się w bólach Samostijnej Ukrainy, która żąda od międzynarodowej społeczności szacunku i uznania, nie dorobiła się jednak jeszcze swojej własnej waluty : za chleb, mleko czy pół litra wódki płaci się w sklepach tak zwanymi „kuponami”, wartymi tyle samo, co, nie przymierzając, tutejszy papier toaletowy. Transformacja a więc nowy start. Dla Polaka przebywającego w tamtych dniach we Lwowie jedna i druga (ta sowiecka i ta nowoukraińska) definicja opisywanego terytorium jest kompletnym nieporozumieniem. Pierwszej, z przyczyn oczywistych, nie zaakceptował przez pięćdziesiąt minionych lat. Drugą – co pokaże kolejne ćwierć wieku – z trudem, zgrzytem zębów i tłumionym przekleństwem, zaakceptować (a przynajmniej tolerować) będzie musiał. Teraz jednak nie ma jeszcze mowy o współpracy ponad podziałami, nie ma mowy o polityce ani geopolityce, wszystko jest płynne i niedopowiedziane. Nikt tu nie myśli więc teraz o traktatach, układach ani integracjach z czymkolwiek, zaś pojęcie „wspólny rynek” obejmować może co najwyżej zwykły bazar gdzieś w Przemyślu albo Tomaszowie, gdzie solidarnie, pod gołym niebem albo brezentową płachtą, stoi ramię w ramię Polak z Ukraińcem, Janek z Iwanem, Katarzyna z Tanią, Wacek z Wasilijem, który szybko zyska swojsko brzmiące miano Waśki. Pewnego dnia każdy z nich będzie miał być może swój wkład w budowanie świadomego (a przynajmniej najedzonego) społeczeństwa, teraz jednak stoją, handlują od bladego świtu i myślą tylko o jednym : żeby klienci poszli sobie wreszcie w cholerę. Bo gdy klienci pójdą sobie wreszcie w cholerę, można będzie wreszcie w spokoju zjeść kanapkę, hot-doga czy cokolwiek i pogadać. Wacek z Wasilijem puszczają do siebie oko – jeszcze tylko półtorej godziny, góra dwie. Pierwszy ma na straganie jajka, warzywa i przetwory teściowej, drugi – pełne spektrum towarów z etykietą „sdielano w SSSR” : od aparatu „Zenit” po gąsienicę czołgu, od lutownicy po straszny, przypominający impregnowany spadochron, biustonosz. Polki tego nie kupują, nie ma przecież możliwości, żeby normalna babka miała tak nieprawdopodobnie wielkie cyce. Waśka uspokaja : nasze też takich nie miały. Nikt takich nie ma. Jednak spadochrony robili tylko w takim formacie – skoro zaś innych nie dawali, w czymś trzeba było przecież trzymać cycki. Polskie elegantki AD 1992 odchodzą zniesmaczone. Bez stanika *luczsze*. Wasilij interesu, jak na razie, nie zrobił, zwija więc spadochrony i pakuje do kraciastej, celulozowej torby. Wacek sprzedał wszystkie jajka i przetwory, zostało parę warzyw. Szkoda mu Wasilija z jego babskimi spadochronami, proponuje więc wódkę. Zagryzą ją marcheweczką. Nad bazarem z wolna zapada zmierzch.

Mamy zatem rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi. Na odmykających się z wolna granicach wciąż jeszcze urzędują kamiennolice, odczłowieczone Frankensteiny w obrzydliwie szarych (bez względu na kolor) mundurach, wzbogaconych czapką, która z powodzeniem mogłaby posłużyć jako lądowisko dla helikoptera dowolnej marki. Sam ich wygląd i wyraz twarzy sprawia, że rasowy przemysłnik traci rezon, zaś przeciętny turysta, jakich ostatnio zaczęło się tu coraz więcej pojawiać, ma ochotę natychmiast zesrać się w majtki lub po prostu zwiać. W centrum Lwowa wciąż jeszcze straszy Lenin, wypinając się spod płaszcza gdzieś w kierunku miejsca, które okupował (dostrzeż tu, uważny Czytelniku, ironiczny cudzysłów) ongiś marmurowy król Sobieski i z którego go pewnego dnia repatriowano (znów cudzysłów) do Warszawy, później zaś do Gdańska. Lenina zresztą czeka wkrótce podobny los – jeszcze o tym nie wie - z tym, że jego „repatriacja” nie powiedzie go z powrotem do szumiącej brzoza mi ojczyzny, a na śmietnik historii.

(...)

1998: WSZYSTKO JEST ŻÓŁTO-NIEBIESKIE Z WYJĄTKIEM NASZEGO AUTOBUSU, KTÓRY JEST ZARDZEWIAŁY

Jedziemy autobusem. I to nie byle jakim autobusem. To w końcu żaden wiekowy, dwupokładowy strudel (tak przecież popularny wśród rodzimych operatorów turystycznych), sprowadzony za grosze z Niemiec, Francji czy Szwecji, do którego kierowca, z uwagi na wiek swój oraz sprzętu, winien zwracać się per „Pan” czy też „Pani” ... Ani nawet nie super wypasiona, nowiutka, błyszcząca i wyładowana (zbędną nam przecież) elektroniką oraz (pożał się, Boże) klimatyzacją, Scania Irizar Century. Tak brzmi przynajmniej wersja oficjalna, której trzymamy się z uporem lepszym godnej sprawy i którą puszczaemy w obieg za każdym razem, gdy pojawi się jakiś, mniej albo bardziej złośliwy, komentarz. Albo takiż uśmiešek. A takich nam, bynajmniej, nie brakuje. Jedziemy bowiem legendą polskiej komunikacji masowej – autobusem turystycznym marki Jelcz. Panie i panowie : oto niezniszczalny Jelcz, zwany w niektórych kręgach „starą peerą” , chapeau bas ! Powiewają dumnie nieśmiertelne, krochmalone firanki o kolorze rzadkiej kupy, zaś z jedynych dwóch działających głośników sący się dyskretnie wzniosły i wzruszający jak zawsze Vangelis. W roli klimatyzacji występują rozłożone gazety : już kilkanaście z nich młóci powietrze, dając przyjemny powiew i chwilę odpoczynku od nieznośnego, gorącego i stojącego w miejscu zaduchu, śmierdzącego dodatkowo brakiem ciepłej wody w dwóch ostatnich hotelach i nadgniłymi kanapkami z kielbasą, jeszcze z Polski. System chłodzenia wzmacniają dodatkowo kultowe, składające się do środka, harmonijkowe drzwi autokaru : za żadne skarby świata nie chcą się do końca zamknąć w czasie jazdy, zapewniając tym samym przyjemny zefirek pod stopy i wieczorne kichanie. Palące słońce na bezchmurnym niebie męczy niemiłosiernie, lepsze to jednak niż rześisty deszcz; wszystko jest lepsze niż rześisty deszcz ! Bo gdy pada, na siedzeniach pod oknami autokaru najzwyczajniej w świecie nie da się wysiedzieć : wysłużone gumy uszczeltek dawno już sparciały więc delikwent, który nieopatrznie wybrał sobie miejsce przy oknie (*„Ja chcę tu usiąść! O, TU !!! Przepraszam ! Dziękuję !”*), po upływie kilku minut jest kompletnie mokry. Na siedzeniach wewnętrznych też nie jest lepiej, jednak o tym za chwilę. Kiedy trafi się więc dzień gorący lecz deszczowy, w naszym Jelczu następuje czas prawdziwej demokracji : woda wlewa się do środka przez zużyte uszczelki, błyskawicznie podtapiając tych, którzy chcieli być bliżej niezapomnianych, kresowych landszaftów. Mokry jest więc każdy, niezależnie od poglądów politycznych, orientacji seksualnej oraz miejsca, które miał nieszczęście wybrać. Przerażony pasażer krzyczy przez kolejnych dwadzieścia rzędów siedzeń do kierowcy :

- Panie szefie, leje się do środka !!!!

- Okno pan zamknij ! – odwrzaskuje kierowca

- Mnie się też tu leje ! – piszczy pani ze środkowych rzędów.

- Okna pozamykać, ale już, to się nie będzie lało ! – krzyczy zniecierpliwiony kierowca. W dwóch działających głośnikach ryczy Vangelis.

Ręce pasażerów posłusznie wędrują do rozsuwanych okienek, zamykając je z charakterystycznym trzaśnięciem. Kilka chwil później wszystkie szyby są kompletnie zaparowane, wewnątrz zaś maszyny rozpoczyna się wilgotne piekło : teraz mokrzy są wszyscy : ci co pod oknem i ci, co od wewnątrz, jedni od spływającej po szybach wody, drudzy od potu i skroplonego powietrza. Z tylnych rzędów ktoś desperacko krzyczy :

- Panie kierowco, zaraz się uduszę ! Powietrza !

- Okno pan otwórz ! – odkrzykuje kierowca.

- Ja też się duszę !!! – piszczy pani ze środkowych rzędów.

- Okna pootwierać, ale już !

(...)

Od pewnego czasu robię „karierę” przewodnika, turystycznego pilota i opiekunki do dużych (i niegrzecznych) dzieci w jednym. Na wyprawy, organizowane przez pewną warszawską fundację, która zatrudniła mnie do tej (niewdzięcznej chwilami) roboty, licząc zapewne nie tyle na moją wiedzę, erudycję czy osobisty czar, co raczej twardy tyłek i umiejętność wychodzenia obronną ręką z sytuacji kryzysowych (których mi tu raczej nie brakuje), zgłaszają się dziesiątki ludzi z całej Polski, a i spoza niej. To jedna z pierwszych takich inicjatyw : kresowe podróże sentymentalne. Piszę więc programy wyjazdów i docieram do miejsc, do których przez ostatnich kilkadziesiąt lat dotarło niewielu po to, by następnie pokazać je innym. Nie brakuje organizacyjnych wpadek, jak choćby podstawiony w ostatniej chwili przez ową fundację legendarny kanciak, Jelcz PR 110. Żaden właściciel firmy przewozowej o zdrowych zmysłach nie zdecydował się na wynajęcie czegoś z wyższej półki na te nasze wschodnie wycieczki, pozostał więc na placu boju jeden, jedyny oferent, dysponujący Jelczem oraz - jeszcze starszym, jeszcze bardziej topornym i jeszcze bardziej zużyтым - Autosanem. Wybór padł na Jelcza. Ma on wprawdzie ponad dwa miliony kilometrów przebiegu, rozklekotane i niewygodne siedzenia oraz denerwującą skłonność do zaskakujących awarii, jednak zdaje się być faktycznie niezniszczalny. Brzydki, toporny, jakby żywcem przeniesiony z innej epoki, doskonale radzi sobie jednak w ukraińskich, niełatwych warunkach drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych.

A te bywają czasem straszne ... Dziury, dziury, dziury. Większość dróg tutaj to jedna wielka dziura, otoczona dla niepoznaki jakimś rachitycznym asfaltem. Dziury są wszędzie. Czy to droga krajowa, lokalna czy szeroka, jak pas startowy dla wahadłowca międzynarodowa – imię jej brzmi : dziura. Bywają dziury niegroźne, bywają też śmiertelne. W te ostatnie, zwłaszcza na prowincji, kierowcy ciężarówek wtykają cokolwiek, co wystaje ponad poziom i ostrzega innych : samotny patyk, gałąź z liśćmi, miotłę, metr sześcienny gruzu ... Po trzech latach pracy w „terenach” sądziłem, że nie zaskoczy mnie tutaj już żaden, pomysłowy „drogowskaz”. Wybałuszyłem jednak oczy, kiedy ogromną, ponad metrową wyrwę w asfalcie, jakiś pomysłowy szofer postanowił zabezpieczyć tym, co aktualnie miał pod ręką – tak więc na suchym

badyłu powiewały sobie smętnie czarne, mocno znoszone już i bynajmniej nie uprane, stringi w rozmiarze XXL. Szczeka w dół i kolejny raz chapeau bas ... Trzeba jednak przyznać, że rozwiązanie okazało się nad wyraz skuteczne – zwalniał absolutnie każdy, chcąc zobaczyć to kuriozum i tym samym w porę mógł ominąć asfaltowo - ziemną pułapkę.

Bywa też czasem, że droga ni stąd, ni zowąd, raptownie się kończy. Jedziesz eleganckim asfaltem, cieszysz się w duchu małą ilością zaliczonych dziur (większości z nich, zwłaszcza tych mniejszych, zwyczajnie nie da się uniknąć – wyskakują, jak diabeł z pudełka w ostatniej chwili i już wiesz, że w przeciągu najbliższych sekund usłyszysz głośnie „bum”, po czym świat nieprzyjemnie się zakołysze), mapa zaś pokazuje ci, że przez kolejnych dziewięćdziesiąt kilometrów nic nie powinno się zmienić. No i niespodzianka. Asfalt kończy się bez żadnego uprzedzenia i lądujesz w błotnistej (lub pylistej) brei, klnąc, kaszląc, kichając i zastanawiając się, czy aby na pewno uda ci się z tego czegoś wybrnąć. Jeśli ci się uda, wkrótce czeka cię niespodzianka numer dwa. Kilkaset metrów dalej, jakby nigdy nic, wraca asfalt. Może być z dziurami albo bez, ale jest.

Głowiłem się nad tym dziwnym zjawiskiem wielokrotnie – zwłaszcza, że spotykałem takie niespodzianki w całej prawie Ukrainie. Tajna droga ? Brak funduszy ? Złodzieje asfaltu ? Rzecz wyjaśnił mi dopiero Aleks, mój ukraiński towarzysz niezliczonych wędrówek po dawnych republikach sowieckich, niewyczerpane źródło anegdot, powiedzonek i chodząca encyklopedia wiedzy o niesławnie upadłym ZSRR.

Obywatel sowiecki miał bowiem dość ograniczoną swobodę poruszania się po własnym kraju, nie mówiąc już o obywatelu obcym, a więc potencjalnym szpionie. Po traktach Imperium należało się przemieszczać w ściśle określonym porządku oraz w poszanowaniu obowiązujących zasad, wszystko zaś musiało być odpowiednio odnotowane i zaprotokółowane. Przemieszczanie się z oblasti do oblasti (a więc pomiędzy województwami) było już poważną podróżą, należało jej zatem dokonać szlakiem wytyczonym i zatwierdzonym przez władze. Na granicy województw stał szlaban i milicjant. Szlaban, w dzień zwykle podniesiony, nocą był zawsze zamknięty. Służył do uniemożliwienia swobodnego przemieszczania się po ZSRR elementów niepewnych, milicjant zaś – po uprzednim sprawdzeniu dokumentów podróżnika i upewnieniu się, co do jego intencji – do podniesienia szlabanu. Albo wszczęcia alarmu.

Albo – co przetrwało do czasów współczesnych – przyjęcia godnej łapówki i taktycznego oddalenia się na siku, podczas gdy pragnący kontynuować podróż delikwent, szarpał się sam z opuszczonym szlabanem. Jeśli zdążył go podnieść przed powrotem milicjanta – jechał w swoją stronę ...

Dziwne przerwy w asfalcie na kilku drogach Ukrainy, ów znikający i pojawiający się trakt komunikacyjny, który nie dawał mi spokoju, był więc po prostu pozostałością po dawnym systemie. Tutaj kończyła się obłast', tutaj – na stałe – stała zaporą drogową. Tędy nie wolno było przejeżdżać bez specjalnego zezwolenia. Tutaj zaczynał się pas „ziemi niczyjej” – kończący się kilkaset metrów dalej, w kolejnym województwie. Tam również stała zaporą. Pomysł prosty lub wręcz prymitywny, lecz – jak opowiadał Aleks – sprawdzał się znakomicie.

Dziś na tych drogach nie ma już zapór ani ostrzegających znaków. Nie ma też jednak asfaltu. Nikt nie zabrania przejazdu, nikt jednak nie myśli go ułatwiać. Smutny lecz wymowny symbol, jak wiele rzeczy wciąż nie poddało się zmianom. Jak wiele czasu jeszcze potrzeba ? Kilkusetmetrowa przerwa w asfalcie. Niczym nie wypełniona, irytująca dziura po Imperium.

Jedziemy więc naszym Jelczem. Żar wlewa się przez okna, turyści drzemią lub myślą. W głośnikach – znów Vangelis, znów Wyprawa do Raju. Czy aby na pewno do Raju ? Wołyń wita nas rozległym

krajobrazem pól, przeplecionym gdzieniegdzie połyskującą w słońcu kopułą prawosławnej cerkwi. Po latach ateizacji, życie religijne wraca tu w imponującym tempie. Trwają wprawdzie spory między katolikami rzymskimi a prawosławnymi, katolikami rzymskimi a unitami, prawosławnymi jednego patriarchatu z prawosławnymi kolejnego, unitami a prawosławnymi, jednak jednego nie da się zanegować : w miejscach, gdzie dotąd stał Lenin, coraz częściej pojawiają się figury świętych różnej maści i proveniencji. Każda z nich ozdobiona jest przynajmniej niebiesko-żółtą wstążeczką, wielu zaś dodaje godności i majestatu niebiesko – żółta flaga z tryzubem. Te tryzuby i te flagi, ale także wstążki, ręczniki czy najrozmaitsze ozdoby, biją w oczy w każdej chyba wsi, miejscowości, miasteczku. Nawet tabliczki z nazwami urzędów na mijanych budynkach są niebiesko – żółte. Mówiąc „Wołyń” myślisz o zielonych polach, mówiąc „Lwów” – o wielobarwnej, fascynującej secesji. Chocim czy Kamieniec to czerwone cegły niezdobitych fortec. Kiedy jednak otwierasz oczy, wszystko wokół jest niebiesko – żółte. Swoją młodą niezależność Ukraina demonstruje na każdym kroku dwoma kolorami, podtykając je swoim gościom niemal pod sam nos. Mnie to nie przeszkadza, wielu jednak razi.

Przy kolejnym trójkątnym kopczyku, otoczonym żelaznym ogrodzeniem, starszy pan z końca autobusu nie wytrzyma. Mamy właśnie przerwę. Turyści rozleźli się po miasteczku w poszukiwaniu jedzenia, papierosów i wódki. Zaś z kopczyka, jakich tysiące można spotkać na Zachodniej Ukrainie, oświeca nas w promieniach słońca, złoty tryzub. Maszt na szczycie kopca jest oczywiście niebiesko-żółty; to chyba największa ukraińska flaga, jaką dane mi było oglądać.

- Panie, co to za pagórki ? Chyba szósty już dzisiaj ...

Patrzę na turystę i nie wiem, co powiedzieć. Bo jeśli Kresowiak – zagotuje się na amen. Jeśli nie Kresowiak – nie zrozumie i będzie męczył dalej. Bo i jak wytłumaczyć, że to swego rodzaju hołd dla tych, którym Rzeczpospolita nigdy hołdu nie odda. Że te kopce powstają tak, jak grzyby po deszczu w całej Ukrainie, są ich już setki, jeśli nie tysiące. Że sławią bojców UPA i ich wątpliwe dokonania. Tu, na Wołyniu, ma to szczególnie złowrogie znaczenie.

- No, to co to za górka ? – starszy pan jest ciekawy. I denerwująco dociekliwy.

- *Kurhan bandytów* ... - wypalam.

- Aha .. A gdzie mogę kupić pół litra ?

Jednak nie Kresowiak.

(...)

1999 : W DALSZYM CIĄGU ŻÓŁTO I NIEBIESKO, A W DODATKU OPALIZUJĄCO

Słowa same układają się w głowie, ciężko jednak przelać je na papier, bo wydarzenia dzieją się zbyt szybko i jest ich zdecydowanie za dużo. Na pisanie przyjdzie czas później. Życie tutaj, na Wschodzie, samo z siebie pisze znakomite reportaże, każdy dzień w zasadzie jest tematem na osobny materiał. Musisz tylko być, widzieć i zapamiętać. Bywa, że dziennikarz podkoloryzuje nieco materiał, aby tchnąć w niego jakiś większy urok, moc czy znaczenie. Tu, na Ukrainie, a i pewnie na całym Dzikim Wschodzie, nic nie trzeba koloryzować. Życie jest tak dosadne i jaskrawe, że chwilami nieznosnie bije po oczach, zmuszając

do ich przymrużenia. Cały ten blask i koloryt byłby inaczej nie do zniesienia. Z przymrużeniem oka jakoś daje się znieść i zrozumieć.

Piotrek jest wściekły. Nikt nie lubi jeździć na oparach a na pewno nie szanujący się, profesjonalny, zawodowy kierowca. Nawet jeśli przyszło mu prowadzić tak wysłużonego rupiecia, jak nasz stary Jelcz. Leży pod nim bez przerwy na każdym postoju, stęka, sapie, klnie na czym świat stoi, po czym z dumą oznajmia, że po raz kolejny udało mu się reanimować pacjenta, dla którego wzywano już karawan i zapalono kadzidło. Powiewają więc znowu w oknach obrzydliwe firanki, pot leje się hektolitrami, kłapią niedorzeczne, harmonijkowe drzwi za oknami zaś spokojnie przesuwają się kolejne czarnoziemy i trójkątne pagórki. I tak, zdawało by się, bez końca. Tym razem jednak Piotrek jest naprawdę wściekły i czuję, że stoimy u progu poważnego kryzysu. Wygląda jak ten głodny, rzymski lew, któremu ktoś sprzątnął nagle spod nosa wyjątkowo tłustego i apetycznego chrześcijanina, pokazując w zamian figę. Nie chciałbym być w skórze trzęsącego się ze zdenerwowania osobnika, stojącego naprzeciwko nas. Osobnik ów mówi dziwną (ale często tu spotykaną) mieszaniną ukraińskiego i rosyjskiego i kilka minut wcześniej usiłował beczelnie zrobić nas w konia. Trafił jednak na granitowy mur z kolcami : Piotrek zna na wylot wszystkie te numery, zjeździł w końcu autokarami i ciężarówkami cały dawny Związek Radziecki i to jeszcze w czasach, kiedy ten wypierdek łamał sobie ręce skacząc z dywanu na podłogę. A teraz, stojąc gdzieś za Zbruczem z pustym bakiem i nieodległą perspektywą kompletnego blamażu, najzwyczajniej w świecie wpadł w furię.

- Dajesz ten telefon, gadzie, czy sam mam go poszukać ? !!!

- *U nas mobilki niet ... Niie ma ...* - facetowi nogi się trzęsą.

- Dawaj stacjonarny !

- *Szo takoje „stacj ...arnyj” ?*

Piotr robi się coraz bardziej czerwony. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, dałbym słowo, że z minuty na minutę robi się coraz większy i coraz bardziej gruby, zaś jego adwersarz zmniejsza się z sekundy na sekundę. Jeśli tak dalej pójdzie, jeden z nich pęknie, drugi zaś zwyczajnie zniknie i zostanie sam z pustym bakiem wiekowego autokaru i czterdziestką rozczarowanych turystów, których w jakiś sposób będę musiał odesłać do kraju.

- Gdzie telefon ? Zresztą ... Sam znajdę !

- *Podażdi, podażdi !!!!*

Facet daje nura w głąb magazynu, u którego drzwi stoimy i prowadzimy tę bezsensowną konwersację. Słysząc jakieś łomoty, syk, gulgotanie i bładzie, wystrzeliwane niemal jak z kałasznikowa. Chwilę później autor zamieszania zjawia się w drzwiach magazynu, dzierżąc w obu rękach dwa solidne, jeszcze sowieckie, dwudziestolitrowe kanistry. W czołgach takie mieli. Mieszczą więc czterdzieści litrów paliwa, od których zaczęła się cała awantura. Wyciąga je w kierunku Piotrka z tak durnym wyrazem twarzy, że wydaje się być narysowany kredką na płocie. Słowo daję, że wygląda jak pies, który nie wie czy ma ugryźć dziurawą kość, czy próbować ją zgwałcić. Tłumię jednak śmiech - Wania jest śmiertelnie poważny. I śmiertelnie przerażony.

- *Bieri, brat ... Bieri ...*

Niedawny przeciwnik, obecnie zaś *brat* Piotr patrzy podejrzliwie, po czym odkorkowuje pierwszy kanister : wacha, miesza i znów wacha i znów miesza. Test zaliczony, kiwa głową i otwiera drugi. Wszystko jest, zdaje się, w porządku, Piotrek bowiem wstaje, łapie kanistry i odwraca się plecami do chłystka, który przed chwilą usiłował zrobić z niego idiotę. Rzuca tylko przez ramię w moją stronę :

- Bierz plastiki. Idziemy.

Biorę więc plastiki i posłusznie ruszam. Zza pleców dobiega nas rozpaczliwe wołanie niedosłego złodzieja. Zaraz, zaraz, miał być przecież interes a tu jakaś kupa ... Zaraz, zaraz, a gdzie rozliczenie ? Piotrek krzywi twarz w imitacji złowrogiego uśmiechu. Lew odzyskał swego chrześcijanina : zjeść go od razu czy się jeszcze pobawić ? Dobry jest, jak Boga kocham, dobry jest. Zaraz, zaraz, brat ...

- Dzwon do Rusłana, on tym razem płaci !

- Szto ? !!!!

- *Hivno* !

Hivno to po ukraińsku. Po naszymu : gównno.

Bo to właśnie Rusłan sprawił, że możemy kontynuować naszą podróż. Było już bowiem naprawdę nieciekawie. Do Kamieńca Podolskiego dowlekliśmy się na smętnym oparze, zaś wszelkie próby napełnienia baku czymkolwiek zakończyły się kompletnym fiaskiem : całe paliwo jakby na dobre wyparowało z Ukrainy. Stacji benzynowych po drodze jak na lekarstwo, każda zaś nieczynna. Gdy przyszliśmy w to miejsce, poleceni przez kolegę kolegi naszego kamienieckiego kolegi – lekarza, zostaliśmy z miejsca wpuszczeni w maliny. Tykowaty chłystek wziął od nas dwa plastikowe kanistry, pojemności dziesięć litrów każdy, po czym usiłował wmówić nam, że zmieściło się do nich ponad 40 litrów paliwa. Właśnie wtedy Piotrek stracił panowanie nad sobą.

- Popatrz, baranie, tu jest wskaźnik ! Napisane : 10 litrów !

Facet wziął do ręki baniak, spojrzał i potwierdził :

- Da, 10 litrow. Wasz kanister stary Rozciągnął się. Więcej weszło ...

Więcej ? Czterdzieści litrów w dwa, dziesięciolitrowe zbiorniczki ? Próbowaliśmy negocjować, chłystek był jednak nieugięty.

- *Wy wziali sorok litrow ! Za sorok nada poplatit ‘ !*

Wtedy Piotrek nie wytrzymał.

- Dawaj telefon !

- *A za czym tobie telefon ?*

- Dawaj, mówię ! Już ci Rusłan wytłumaczy, za czym !

Gość zaczął tracić rezon i robić się coraz mniejszy. Piotr zauważył, że trafił prosto w czoło. Resztę już

znacie. Czterdzieści litrów.

Facet stoi więc, jak wmurowany, my zaś oddaliśmy się z kanistrami – swoimi i jego, zdobycznymi znaczy. Mamy niemal sześćdziesiąt litrów bezcennej, łatwopalnej cieczy, zatem przez dwa najbliższe dni chociaż jeden kłopot nie będzie nam zaprzętał myśli. Gdy już jesteśmy dobre dwieście metrów od feralnego magazynu i jego oprychowatego właściciela, pytam :

- Piotrek ?

- No ?

- Co to za Rusłan ?

- A czort go wie !

- ???

- Nie znam żadnego Rusłana !

Czyli ... okradliśmy złodzieja.

Piotr poszedł po bandzie i wygrał. Wiele lat później dowiedziałem się, że w tamtym czasie komendantem naczelnym lokalnej milicji był niejaki Rusłan W., straszny skurwiel i gangster, któremu bliżej było do Don Manuela niż powszechnie szanowanego reprezentanta prawa. Wtedy jednak nie wiedzieliśmy o tym, zaś na nasze szczęście, nasz niedoszły oszust nie wiedział, że nie wiemy. Piotrek zatem miał rację – zastosował niezawodny, stary, sowiecki mechanizm. Strzelił na ślepo, odwołując się do strachu. Zadziałało. Na szczęście.

Było bowiem się czym martwić. Późna wiosna '99 kładzie się na niebiesko-żółtej Ukrainie niepokojącym cieniem. Właściwie wszędzie brakuje paliwa. Stacje benzynowe, nieliczne jeszcze i rzadko kiedy godne zaufania, zawiesiły w zasadzie swoją codzienną działalność – każda z nich ozdobiona jest odręcznie pisaną karteczką, która woła wielgachnymi bukwami, że paliwa niet. Jak to niet ? Ano niet. Nikt nie wie, o co chodzi, jednak my ciągniemy na oparach od granicy z Polską i wygląda na to, że im głębiej w Ukrainę, tym gorzej. Czyżby wyczerpały się wszelkie zapasy ? Co się dzieje ? Znikli nawet nasi nieodłączni towarzysze – milicjanci. Ruch na drogach zamarł, nie ma zatem kogo łupić. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że jak dotąd absolutnie nikt nie potrafił wyjaśnić nam, co tak właściwie się stało. Wojna ? Klęska żywiołowa ? Zamach stanu ?

Podhorce. Odpowiedzią są dopiero Podhorce. Dawna siedziba Rzewuskich albo całkiem niedawny szpital psychiatryczny. Jedno i drugie w ruinie – to posępna ale piękna ruina. A mały Wowka nie ma jeszcze dziesięciu lat, jednak jest tak bystry i rezolutny, że aż miło posłuchać jego dziecięcego paplania. Wowka wie bowiem wszystko – wie, dlaczego nie ma życia Marsie, wie, kto wymyślił kombajn i dlaczego Batman nigdy nie był na Ukrainie. Wiedzę ma imponującą.

- Wowka, a ty nie wiesz dlaczego nigdzie nie ma solary ?

Dzieciak patrzy niebieskim spojrzeniem na Piotrka, jakby ten właśnie zaczął zmieniać się w żabę. Oczywiście, że wie. Wowka wszystko wie.

- Bat'ko kazal, szo nasza mafia prodala ... *Kak nazywajets 'a wasz awtobus ?*

Robimy wielkie oczy. Mafia sprzedala ? Jak to mafia sprzedala ? Komu mafia sprzedala ?

- Bat' ko kazal, szo prodala do Jugoslawii. *Kak nazywajets 'a wasz awtobus ?*

Taką historię usłyszymy jeszcze po drodze parokrotnie. Jednak mówiąc „mafia sprzedala”, każdy ma na myśli coś innego – od rzeczywistych bandziorów po polityków z pierwszego, paradnego garnituru. Te dwa pojęcia często się tutaj mieszają. Czort raczy wiedzieć, jak było naprawdę, jednak cała Zachodnia Ukraina, swoją ludową mądrością wiedziała, że to mafia opchnęła wszelkie możliwe paliwo do walczącej jeszcze i rozpadającej się na naszych oczach Jugosławii. Chwilę później nastąpiło Dayton oraz koniec tej straszliwej wojny, jednak wtedy, wiosną 1999 roku, siły NATO rozpoczęły właśnie ostateczną pacyfikację wyrzynającej się w tempie błyskawicznym Jugosławii. Ukraina, ta ludowa, prosta i zwyczajna, ta rozsiana po wsiach i miasteczkach, nie wiedziała jednak, co to geopolityka. Znane były jednak fakty : jest wojna w Jugosławii oraz nie ma paliwa. Powiązano te fakty w jedno. Ojciec Wowki, wypasający trzy rachityczne kozy jakieś dwieście metrów od nas, najwyraźniej był święcie przekonany, że tak właśnie się stało : mafia sprzedala paliwo do walczącej z samą sobą Jugosławii.

Tymczasem niebieskooki Wowa nie daje za wygraną :

- *Kak nazywajets 'a wasz awtobus ?*

- Jelcz. Wowa, spytaj ojca czy wie, gdzie tu kupić paliwo.

Wowa jednak nie słuchał. Jego oczy zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej niebieskie.

- *KAK ??? Jelcyn ? !!!*

- Wowa, idź spytaj ojca ...

Wowki już jednak z nami nie było. Biegł przez błotniste pole w kierunku ojca i trzech kóz, krzycząc wniebogłosy:

- *Bat'ku ! Bat'ku ! Polaki do nas Jelcynem pryjechali !!!!*

Uratował nas dopiero Aleks (jak zawsze niezawodny) w Krzemieńcu, gdzie dowlekliśmy się naszym „Jelcynem” chyba już tylko siłą woli. Jakimś cudem uruchomił swoje znajomości i do baku autokaru popłynęły wreszcie upragnione litry paliwa. Jaką miała wartość ta solara ani jakie pochodzenie – nie pytaliśmy. Opalizowała tylko delikatnie to żółtawo, to znów niebiesko, jak to solara, dając nam nadzieję na pokonanie kolejnych kilometrów, których czekało nas jeszcze blisko dwa tysiące.

(...)

CDN

dnia 4 lutego 1994r.).

rockhard, dodano 20.04.2015 16:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.